

600 lat historii Karpacza – Przystanek Historia – wycieczka po Karpaczu Górnym

W sobotę 21 kwietnia 2018 roku w ramach cyklu „600 lat historii Karpacza – Przystanek Historia” Ryszard Rzepczyński poprowadził drugą wycieczkę, tym razem po Karpaczu Górnym.



Foto: Krzysztof Tęcza

Chętni na spacer spotkali się z przewodnikiem koło Młynka Miłości. Niektórzy z przybyłych pamiętają ten obiekt sprzed wielu lat kiedy wyglądał on zupełnie inaczej. Nie był to bowiem młyn a wiatrak, który miał możliwość tryskania wodą. Czasami było tak, że gdy przewodnik doprowadził tutaj grupę turystów właściciel obiektu włączał wiatrak i strumień wody oblewał słuchających opowiadania przewodnika. Później gdy obiekt zmarniał postawiono nowy wykonany przez jednego z mieszkańców Karpacza ale już w kształcie młyna. Stary obiekt został przeniesiony na podwórko jego właściciela. Od tej pory do młyna przylgnęło wiele opowieści, niekoniecznie prawdziwych.

My schodzimy do Chlebowej Budy, obiektu który stał na drodze prowadzącej z Cieplic na Śnieżkę. Trzeba wiedzieć, że gdy na szczycie Karkonoszy zbudowano kaplicę św. Wawrzyńca ludzie wybierali się tam celem wzięcia udziału w mszy. A ponieważ w tamtych latach nie było asfaltowych dróg, ani autobusów, większość z wędrujących szła pieszo. Dojście z Cieplic na Śnieżkę zajmowało dwa albo trzy dni. Dlatego właśnie wspomniany obiekt był tak ważnym. To tutaj można było odpocząć, przenocować i posilić się. To stąd wyruszano na ostatni etap drogi.

Kiedyś miała tutaj miejsce taka sytuacja, że przybyli podróżnicy zabalowali tak porządnie, że żona jednego z nich rano nie miała siły iść dalej. Aby pomóc dostać się niewieście na górę wzięto krzesło, do którego przymocowano dwa porządne kije i zrobiono coś w rodzaju lektyki. Pani usiadła na tak przerobionym krześle i została zaniesiona na sam szczyt. Później taki sposób podróżowania stał się na tyle modny, że powstało Stowarzyszenie Lektykarzy. Niestety dzisiaj już nie istnieje.

W tamtych czasach ludzie mieli na uwadze inne wartości. Najbardziej pożąдали zdrowia. A jak być wciąż zdrowym. Było proste rozwiązanie, wystarczyło pozyskać korzeń mandragory, który był lekiem na wszystko. Oczywiście nie było to wcale takie łatwe. Ba, próba wyrwania korzenia z ziemi z reguły

kończyła się śmiercią tego, który to czynił. Krzyk bowiem, który wydawał korzeń w trakcie wyrywania go z ziemi, miał taką moc, że zabijał wszystkie żywe stworzenia, które go słyszały. Dlatego do tej niebezpiecznej czynności wykorzystywano psy. Wiązano im do szyi sznur, który wcześniej przywiązywano do korzenia mandragory a następnie różnymi sposobami starano się przepłoszyć zwierzę. Niestety te nieświadome co czyni przyplącało to życiem.

W Karpaczu, ani w jego okolicy, nie występowała mandragora. Za to rosła tutaj inna roślina (czosnek siatkowy), której korzeń do złudzenia przypominał korzeń mandragory. Nic dziwnego, że znalazł się człowiek, który oszukiwał ludzi wykorzystując ich niewiedzę. Nie mniej, jakby na to nie patrzeć, ludzie ci byli w swojej niewiedzy szczęśliwi.

Nieco dalej na niższym wierzchołku Czoła znajdują się ciekawe skałki, w których odprawiane były tajne nabożeństwa. Miejsce to było położone na tyle daleko od zabudowań, że nikt niepowołany nie zakłócał spokoju wiernym i na tyle wysoko, że można było z odpowiednim wyprzedzeniem dostrzec wojsko chcące zrobić „porządek z odmieńcami”. Miejsce to nazywane jest Leśnym Zborem.



Foto: Krzysztof Tęcza

W pobliżu tego miejsca znajdują się Cyklopie mury. Do niedawna nikt nie zwracał na nie uwagi, ale teraz, kiedy pozostały już ich ostatnie fragmenty warto zrobić coś by i one nie znikły z krajobrazu. Mury te układane były z kamieni zbieranych na polach wyznaczając niejako granice. Przekazy jednak mówią, że były one układane przez cyklopów, istoty tak silne, że bez problemów przenosiły te wielkie kamienie. Żaden człowiek nie jest w stanie podnieść takiego ciężaru samodzielnie. Przy ostatnim kawałku muru rośnie kilka wielkich choinek. Są one zupełnie niepodobne do tych widocznych w lesie. Mają lekko uniesione do góry końcówki gałęzi co pomagało w zrzucaniu śniegu. Do tego mają mocny system korzeniowy wchodzący znacznie głębiej w ziemię. Drzewa te rosną wolniej ale za to osiągają imponujące rozmiary. To świerk karkonoski.

Po drugiej stronie ulicy Karkonoskiej znajduje się dawny dom wypoczynkowy FWP Urocz. Jest to budynek uważany w czasach jego budowy za jeden z najnowocześniejszych w całym Karpaczu. Właściwie bum turystyczny rozpoczął się od zmontowania przeniesionej tutaj ze Skandynawii świątyni Wang oraz od doprowadzenia kolei. Liczba przybywających turystów zwiększyła się tak, że

istniejąca baza noclegowa nie była w stanie ich pomieścić. Zaczęto budować nowe obiekty. Wspomniany budynek został wyposażony w instalację elektryczną, centralne ogrzewanie parowe, bieżącą wodę zarówno zimną jak i ciepłą oraz windę. Wtedy nazywał się Sanssouci. W czasie II wojny światowej znajdowała się tutaj ambasada Włoch. Wcześniej, ze względu na komfort organizowano tu przyjęcia dla Japończyków. Po zakończeniu działań wojennych obiekt przejęła Polska Partia Robotnicza a osobą zarządzającą była pani Tyszkiewicz, która m.in. miała uczyć polityków wysyłanych na placówki dyplomatyczne zasad savoir-vivre.

Ponoć nocował tutaj kiedyś sam Bolesław Bierut. Nie ma na to dowodów ale coś w tym musi być skoro ta część miasta została nazwana Bierutowice. Chociaż niektórzy mówią, że Bierut nocował w budynku nr 34 również przy dzisiejszej ulicy Karkonoskiej. Wyjaśnienie jest jednak proste. Kiedyś w tamtym budynku mieszkał milicjant, który na ścianach miał zawieszone zdjęcia, na których został utrwalony razem z Bierutem. Wynikało to jednak z jego pracy. Ludzie widząc przez okna takie fotki uznali, że to oczywiście, iż w tym budynku musiał nocować Bierut.



Foto: Krzysztof Tęcza

My udajemy się do świątyni Wang. Tuż przed nią znajduje się pensjonat o nazwie „Tarasy Wangu”, to właśnie tutaj powstał pierwszy obiekt noclegowy po zmontowaniu świątyni. Gdy inwestorzy zorientowali się jakie taki obiekt może przynieść zyski chcieli wybudować kolejne domy. Ze względu na protesty teren ten został przekazany na wieczne użytkowanie parafii ewangelickiej i dzięki temu do dzisiaj nic tu nie wybudowano.

Wracając do świątyni, prosimy o udostępnienie nam klucza od kamiennej wieży wybudowanej celem ochrony przed silnymi wiatrami. Podążając kręconymi drewnianymi schodami można wdrapać się na samą górę gdzie umieszczono mechanizm zegarowy. Jest on na tyle ciekawy, że w 2014 roku umieszczono tam wpis. Brzmi on następująco:

Właśnie dlatego, że stary
Szacunek mu się należy.
Chociaż są starsze zegary
Lecz ten jest w „wangowej wieży”.

Od wielu już lat obwieszczał
Czas zgonów i czas narodzin,
Prostego ludu i mieszczan
I panów z wielmożnych rodzin.

Troskliwa dłoń go podniosła,
Ciężarem czasu schylony
Sztuką dawnego rzemiosła
Do życia znów przywrócony.

Nie w pieśni ani w legendzie,
Nie we śnie ale na jawie.
Słyszycie! Naprawdę bije
Zegar na Wangu. On żyje.

(według Antoniego Słonimskiego)

Na Twoje 170 urodziny

H. G. i A. E.

Odolanów sierpień 2014



Foto: Krzysztof Tęcza

Schodząc w dół w stronę Białego Jaru docieramy do budynku, w którym dzisiaj prowadzony jest bar Sowica. Dawniej mieszkał tu Kleber - najstynniejszy fotograf Karpacza. Po wojnie obiekt przejął pan Jakóbiak, również fotograf. W tamtym okresie fotografia była bardzo dochodowym biznesem. Dlatego też często toczyły się prawdziwe boje o klienta. Najlepsze zarobki można było osiągnąć pod wyciągiem. Wiadomo każdy wjeżdżający na Kopę chciał mieć zdjęcie. Kłopotem było mało czasu. Trzeba przecież było zawieźć klisze do zakładu, wywołać je, zrobić odbitki, wysuszyć i przywieźć

z powrotem pod wyciąg tak by sfotografowany dostał je gdy zjedzie na dół. Jak widać czasu nie było zbyt wiele. Dlatego z fotografami współpracowało wiele osób. Jeden robił zdjęcia, drugi przewoził je do zakładu i z powrotem, a pozostali pracowali na miejscu i w zasadzie przez cały dzień nie wychodzili z ciemni. Ze względu na sporą ilość fotografów, po początkowym bałaganie, wprowadzono prostą zasadę, każdy fotograf robił jeden film i ustępował miejsca kolejnemu. Niestety i tu zdarzały się przypadki oszustwa. Niektórzy kleili ze sobą po dwa filmy i zamiast 36 robili 72 zdjęcia. Na szczęście szybko ukrócono ten proceder i wszystko odbywało się już bez zgrzytów.

Była jeszcze jedna ciekawa sytuacja związana z fotografowaniem. Otóż kiedyś przyjechał do Karpacza ktoś kto przywiózł z sobą małego misia. Prowadzał go ze sobą na smyczy a ten rósł i rósł. Ponieważ był prawdziwą atrakcją każdy z wczasowiczów chciał mieć z nim fotkę. Niestety kiedyś już jako dorosły niedźwiedź został czymś sprowokowany i zerwał się z uwięzi. Biegając po ulicach dotarł do gospodarstwa, w którym na łące zobaczył uwiązaną owcę. Niewiele się namyślając rozszarpał ją. Właściciel owcy, też niewiele się namyślając, wezwał na pomoc milicjantów. Ci zaczęli strzelać do niedźwiedzia z pistoletów. Jednak nie była to zbyt skuteczna broń na tak dużego zwierza. Dopiero wezwany myśliwy rozprawił się z misiem używając karabinu o odpowiednim kalibrze. I tak skończyły się zdjęcia z niedźwiedziem.

Idąc dalej ulicą Karkonoską dochodzimy do widocznego na zboczu ładnego obiektu. To Leśny Zamek. Budynek został wzniesiony za pieniądze pochodzące z przemytu cukru i tytoniu. W tamtych czasach, ze względu na bliskość granicy, wielu ludzi parało się tym procederem. Dochodziło nawet do morderstw. 21 czerwca 1877 roku został śmiertelnie postrzelony leśniczy Wilhelm Frei. Co prawda do dzisiaj nie wiadomo czy postrzelili go przemytnicy czy kłusownicy. Pomnik upamiętniający to wydarzenie znajduje się nieco poniżej Kopy przy jednej z przypór wyciągu.

Z Leśnym Zamkiem związana jest bardzo przykra historia. Otóż w czasach, gdy obiekt ten upodobali sobie wojskowi, przebywał tu oficer pruski o imieniu Helmut i jego żona Luiza. Helmut bardziej przedkładał zakrapiane imprezy niż wspólne przebywanie z żoną. Gdy ta zeszła kiedyś do restauracji i zobaczyła jak zabawia się jej mąż nie wytrzymała tego. Zamiast po prostu zastrzelić męża pobiegła do swojego pokoju na szczycie wieży i rzuciła się z okna ponosząc śmierć na miejscu. Po jakimś czasie inne małżeństwo podejmując ostatnią próbę ratowania swojego związku wynajmuje ów pokój i okazuje się wówczas, że pobyt w nim poprawia ich wzajemne relacje na tyle, że nie myślą już o rozstaniu. Od tej pory wszystkie pary, w których wypaliła się miłość przyjeżdżały tutaj szukać ostatniego ratunku.

Poniżej znajduje się obecnie ładnie odnowiony budynek nazwany Lawendowym dworkiem. Kiedyś w tym obiekcie funkcjonował tygodniowy żłobek. Nie było w tym nic dziwnego zważywszy, że pracownicy Funduszu Wczasów Pracowniczych, dla których był utworzony, pracowali w nielimitowanym wymiarze czasu i często w ciągu tygodnia nie mieli czasu by zajmować się swoimi pociechami.

Po drugiej stronie ulicy, na zakręcie znajduje się budynek z pensjonatem Sadyba. Dawniej zajmowało go Ministerstwo Spraw Zagranicznych. To tu pan Waldek tańczył z panią Loską.

Następna atrakcja Karpacza jest bardziej znana z racji swojej niezwykłości. Mówimy oczywiście o anomalii grawitacyjnej. Jest to miejsce, w którym położona butelka toczy się pod górę. Mało tego, gdy zatrzymamy tam auto i damy na luz, ono zacznie także jechać pod górę. Czy jest to tylko złudzenie optyczne czy prawda każdy musi zdecydować sam.

Tuż obok znajduje się miejsce niezwykle. Jest to kociołek, a właściwie dziura wywiercona w skale. Jak to możliwe. W bardzo prosty sposób. Otóż kamienie obracane przez wir w wodzie powolutku ale

skutecznie wywiercają coś w rodzaju studni w skale na dnie potoku. Im dłużej to trwa tym głębsza i szersza jest owa jama. I właśnie taki kociołek znajduje się na rzece Łomnicy poniżej miejsca anomalii grawitacyjnej.



Foto: Krzysztof Tęcza

Nieco wyżej znajduje się Dzikie Wodospad. Jest to zaporą wybudowaną w latach 1910-1915, po powodzi z roku 1897, uważanej za największy kataklizm tysiąclecia. Zaporą ta to budowla przeznaczona do nieco innych celów niż myślimy. Otóż miała ona nie tylko powstrzymać ogromne masy wody ale przede wszystkim rumosz skalny niesiony przez te wody. Oczywiście by taka zaporą spełniała swoją funkcję trzeba co jakiś czas czyścić zbiornik wodny z zalegającego piasku i kamieni. Patrząc na jej obecny stan wydaje się, że już najwyższa pora by podjąć tego typu prace.

Idąc dalej docieramy do Orlinka. Jest to obiekt bardzo dobrze funkcjonujący zarówno przed wojną jak i po wojnie. Niestety działania podejmowane po wojnie nie koniecznie przyczyniały się do jego pozytywnego wykorzystania. Po 1945 roku obiekt ten wykorzystywany najpierw dla potrzeb sierot wojennych powoli dostosowywany był do funkcji ośrodka wypoczynkowego. Przez długi czas był najbardziej rozpoznawalnym ośrodkiem w Karpaczu. To tutaj podjęto stałe dostawy piwa z browaru żywieckiego. Ponoć pretekstem była planowana wizyta Walentyny Tierszkowej, która jednak nigdy nie doszła do skutku. Obecnie Orlinek popada w ruinę.

Kiedyś była taka sytuacja, że miał do Karpacza przybyć wicepremier zaprzyjaźnionego kraju. Ustalono wówczas, że główne przyjęcie odbędzie się w schronisku „Nad Łomniczką”. I wszystko byłoby w porządku gdyby nie drobiazg. Otóż tam nie ma prądu. Głównym daniem były pawie. Z tym nie było problemów. Jednak gdy goście zażyczyli sobie kawę obsługa wpadła w popłoch. Przecież dowieziona kawa była w ziarnach, a jak bez prądu ją zmielić. Początkowo próbowano to zrobić z wykorzystaniem ręcznego młynka, jednak hałas czyniony przez to urządzenie nie uszedł uwagi gości. Wtedy zdecydowano się wysłać samochód, który zawiózł kawę do Orlinka gdzie spokojnie zmielono ją w młynku elektrycznym. I tak przyjęcie udało się.

Ostatnim miejscem po obejrzeniu sztucznego lodowiska był Biały Jar. Oczywiście okres świetności tego obiektu dawno już minął, ale dzisiaj możemy stąd wjechać wyciągiem kanapowym pod wyciąg

na Kopę. Dla nas jednak bardziej interesującą jest stara droga prowadząca pod górę. Raz, że w istniejącym wówczas tartaku odnaleziono prawdziwy skarb. Były to złoto i dolary ukryte pomiędzy deskami. Dwa, że wąska uliczka była zaplanowana tak by jej szerokość (3 metry) była wystarczająca do minięcia się wozu wiozącego siano z babą niosącą w chuście na plecach chrust. To były czasy! Dzisiaj pewnie nikt nie pomyślałby o takim ułatwieniu.

Krzysztof Tęcza